



Urodziła się w 1993 r. w Bydgoszczy. Obecnie jest uczennicą II Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w rodzinnym mieście. Swoją przygodę z pisaniem rozpoczęła już w szkole podstawowej, jednak prawdziwa pasja ujawniła się w gimnazjum. Jej największym sukcesem jest nagroda główna w ogólnopolskim konkursie literackim dla dzieci i młodzieży *Zaczarowane pióro poezji i prozy*, zdobyta w grudniu 2007 r. Poza tym otrzymała wiele nagród i wyróżnień w regionalnych konkursach literackich oraz recytatorskich. Pasjonuje się poezją, fotografią, a w przyszłości chciałaby zostać psychologiem.

Debiut. Poezja
Mateusz Polak



Ur. 2 grudnia 1986 r. Mieszka w Kramarzówce w pow. jarosławskim. Od 6 lat pisze wiersze. Jest osobą pogodną, miłą, pomocną, wrażliwą. Niepełnosprawny od urodzenia, na co dzień siedzi w domu i szuka pracy, a w wolnym czasie pisze wiersze.

Majowe popołudnie

W majowe popołudnie
do ucha szeptał mi deszcz
opowieści o hermafrodyce
zagubionym wśród chmur.

Gdy on wciąż płakał,
bezdome, chude koty
mijały mnie truchtem.
Idąc przed siebie.

Nie uciszy go dźwięk
boskiego fortepianu.
Nie pocieszą uda
niebiańskiej dziwki.

Nie uczyni szczęśliwym
orszak Dionizosa,
ni soczyste piersi
najpiękniejszej menady.

Mijałem tłum na ulicy,
lecz nikt nie chciał słuchać
opowieści hermafrodyta
zagubionego wśród chmur.

Pod przykryciem parasoli
uliczny tłum nie zważał na łzy.
Ktoś kopnął bezdomnego kota,
ktoś inny zabił od niechcenia.

Nim nadejdzie wieczór
kupię butelkę z plastiku,
by zebrać choć kilka
z porzucanych zdań.

W majowe popołudnie
do ucha szeptał mi deszcz.
Pomógł zrozumieć
kim naprawdę jestem.

Tragedia

smutek i żal ogarnął nasze
złamane serca a w ich oczach
pojawił morze gorzkich łez
teraz bierzemy krzyż całej
tej tragedii na swoje barki....
i zmierzamy na miejsce.
ustawienia krzyża na którym
została przelana ludzka krew
a teraz stoimy w jedności
skupieni w ciszy i milczeniu
składając kwiaty zapalając
znicze i oddajemy hołd
wszystkim...

Powolna śmierć

Stojąc w kałuży deszczu widzę
swoje odbicie, nie poznaje w nim siebie
choć tak niepodobny do samego siebie nie mogę
w to uwierzyć, że się tak zmieniłem
wszystko przez chorobę która mnie niszczy
od środka i czuję, że z dnia na dzień jest gorzej.

Modlę się, aby nie bolało gdy już będę
odchodził z tego świata z nadzieją,
że trafię do miejsca zwanego niebem
czy ono istnieje... zastanawiam się...
a może to tylko kłamstwo...
może trafię do skrzyni drewnianej
i przysypany ziemią?
W ciemnościach bez powietrza,
w samotności zapomniany?

Choć trochę

w nagim cieniu samotności
stoimy razem
niewyobrażalnie blisko
a między nami
szklany mur
przy ostrym świetle dnia
udajemy
że się nie znamy
ćwiczymy obojętność
chłodząc się nawzajem

Jestem

jestem
z nieśmiałego dotyku
z braku tchu
i wielkiej odwagi

jestem
ze świeżego poranka
z kropel rosy
i wschodzącego słońca

jestem córką letniej zimy
i kochanką zimowego lata

jestem z upływającego czasu
i niestałości uczuć

jestem przyjaciółką wrogiego spojrzenia
i wrogiem przyjaznego uśmiechu

jestem
bo być musiałam

jestem
bo się stałam

Czasem, ot tak

czasem wystarczy
pomarańczą przykryć oczy
aby życie zapachem
orzeźwiło duszę
czasem trzeba tylko
mieć co wspominać
przy dymiącym ogniu
by się otrząsnąć
i podnieść serce z ziemi
wystarczy chwila niewielka
by całą nadzieję sprzedać
a setki takich i dłuższych
by pokornie zaufać
a czasem, ot tak
rzucając się na wiatr

Poezja Andrzej Sondej



Poeta, happener, animator kultury i sztuki. Założyciel Poeci do Sztuki. Redaktor i współzałożyciel portalu internetowego www.pogranicze.eu

Czerwony parasol

Hymn nocy dla Marka Kowala

Marek sentymentalnie podchodzi do drzwi
Jak czarownica zaplątana w sieci w nutach przestrzeni
W wiśniowym sadzie zrywa liście motyłem
Rikszą przejeżdża mokre dłonie

Dawny mistrz błądzi po ulicy Kosynierów
Przez ulicę Grunwaldzką biegają dzieci zapomnienia
Łysy Kon wychodzi z podziemia
Przez krwawe oczy Baldacha

To świt – przez noc
Nie daje nam spać
Wygnańcom losu
A tak wiele rozmawialiśmy o Juliuszu Grocie
i Niemieckim Papieżu

czerwony parasol na deszczu jesieni
namalował ogryzek puszczy
w obrazie tym mówią niezliczone węgle słowa
rozlanym atramentem filozofii (zieleni)

Wybrałem to miasto inne od pogody
Inne w znaczeniu kochania

Tak inne od nieba Rzymu
tak podobne do oczu kobiety
Rzym chuligana – tam gdzie wędrowałem z duchami

Chodź szukałem różdżki Sokratesa
I łysych głów przeznaczenia
nie miałem racji ani prawa
przeciwstawić się wiszącej melancholii

ta orientacja chodzi w dziurawych okularach
w mokrych skarpetkach przewlekle zachrypnięta
pani młoda śpiąca
wyciera moczem duszę diabła

na brzegu upojnego dnia – kwiaty pożądania
wycierają się nadzieją na spokojny sen
tonącej łodzi Homera

w wiśniowym sadzie
obłąkani wychodzą z podziemia
upojeni głodem starości szukają
nagich słów przeznaczenia

to drzewo rośnie tu od zawsze
pnie wyciętych starości pogłębiają milczenie
rodzi się nowe miasto – noworodek z wielką paszczą
wąż Wisłoka przeciera zapłakane oczy Anioła

Proza Ryszard Sziler



Urodził się 1 września 1950 roku w Jarosławiu. Filologię polską studiował na WSP w Rzeszowie i UJ w Krakowie. Pracował jako nauczyciel, następnie przez wiele lat pełnił funkcję kierownika działu oświatowego Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej. Mieszka w Kolbuszowej, pracuje w WDK w Rzeszowie. Zajmuje się grafiką, malarstwem, repuserstwem i literaturą. Od lat pisze zarówno wiersze, jak i prozę. Jest m.in. autorem jednoaktowego dramatu *Spotkanie*.

KSIEGA WIATRU (III) Rzecz o skarbach

Zdarzali się oczywiście goście i babka emanowała wówczas wręcz rozkoszą. Jej podśpiewywania niosły się po całym domu. A było w nich wszystko, od „szumu Prutu”, przez „Orle powstań”. Precz z tytułami. Po których przechodziła niespodzianie „na placówkę pod Tobrukiem”, bądź „do Tyrolu” lub do „Warszawianki”. I z całą pewnością nie było w tym śpiewie choćby nuty rzewności, czy powagi, tym bardziej, że okraszała go przerywnikami w typie : – A u naszej popadi, popadi. Tri kutasy na zadi, na zadi. Albo: – I szo! sobi Fytyp, Fytyp. A jajcia mu – tytyp, tytyp. I szo! sobi lwan, lwan. A jajcia mu – bałam, bałam.

Przede wszystkim rozstawiała stół, przecierała krzesła, a kiedy już rogi najmniejszych nawet serwetek przybrały właściwy kształt, wychodziła do ogródka po kwiaty, które odbierała motyłom. Brodziła w nich i długo schodziło nim wybrała któreś, tak by dopełniały zakładaną kompozycję potraw. Ale kosmosę preferowała, bo przecież Sala tak szczególnie lubi te „bocki”. Otrzepywała je potem z rosy i wszelkich żyjątek, i rozkładała w kryształowej wazie, albo wysmukłym flakonie, jeszcze po prababce Celinie. Potem wlewała wodę, tak jak wlewa się strumień słońca w łąkę przez rozciętą wiatrem chmurę. Z pluskiem i migotaniem.

A ciotka Sala, choć miała już sporo lat, ciągle pachniała jeszcze wodami Karlsbadu, do których jeździła kiedyś.

– W ogóle bywała w świecie, nie to co ja – mówiła babka, tamtego wieczoru, kiedy to zachorowała i Tadeuszek musiał z dziadkiem iść dzwonić po karetkę z budki droźnika.

– Boże mój – szeptała – pewnie umrę, a tu tak daleko od ludzi. I czemuś ty mnie wywoźł tak daleko? – patrzyła z wyrzutem na dziadka, a on poprawiał okulary i chrząkał.

A świat ciotki był rzeczywiście szeroki: Wiedeń, Paryż, Bruksela... Wsiadała w pociąg kolei lwowskiej i jechała w ten świat. W dodatku opłaty pokrywała w całości ze swojej nauczycielskiej pensji.

– Dziś mógłby to wymyślić tylko Andersen – mruzczała babka.

– No popatrz babciu, a ilu my rzeczy nie mamy – wyliczała jej kiedyś Tadeuszek. – Nawet porządnego szczyryka nie mam, ani organków...

– Nie masz czegoś? Ano rozejrzyj się wokół. Zsumuj sobie ile dostałeś. I ciepło pieca, i przezroczystość szyb, i kolędę wieczoru. I marcowy śpiew szpaka, kiedy jeszcze jest tak bardzo szaro. No i głodny nie jesteś przecież. To czego ci jeszcze potrzeba? – spytała babka.

Tu Tadeuszek tłumaczył długo, czego mu potrzeba, podając także przykłady już przez los obdarowanych.

– No i poza tym, sama tak babciu mówiłaś.

– Aa, tam – machnęła ręką babka. – Różne rzeczy czasem człowiek mówi.

– No ale, co to za skarby, nawet i te śpiewy szpaków, kiedy wszyscy je słyszą i wcale na nich nie poprzestają. Robią swoje, a ptaki swoje – uśmiechnęła się Tadeuszek.

– Ach tak – pokiwała głową babka. – Mówisz, że wszyscy mają śpiew ptaka? Plamy słońca pod drzewem? Smak malinowego soku w ustach? A pewny jesteś? A nie myślisz czasem, że może oni już te skarby utracili?

– No jakże...Pewnie, że nie.

– Oho. Różnie z tym bywa...A wiesz ty co to wróbel? – spytała nagle.

– Babciu – westchnął z wyrzutem Tadeuszek.

– No co to? – indagowała uparcie babka.

– Wróbel...to wróbel.

– Właśnie – sarknęła. – Woda, to woda. Chmura, to chmura. Słońce, to słońce. Tak właśnie traci się skarby, nie dostrzegając własnego bogactwa.

Tu babka zasępiła się przez chwilę.

– A wyobrażasz ty sobie świat bez wróbla? – spytała.

– Wróble muszą być – powiedział z przekonaniem Tadeuszek.

I odtąd zaczął przyglądać się uważnie kawkom, wróblom, soplom, żywicy wpływającej z pękniętego pnia wiśni. Ale szczyryka jak nie miał, tak nie miał i nie mógł o tym zapomnieć.

– No kupisz mi go wreszcie, czy nie? – nudził straszliwie babkę.

– Jak pojedziemy do miasta, to kupię.

– Ale kiedy, co? No, kiedy babciu?

– A pocałujże ty mnie wreszcie w lich-tarz! – wyrwało się w końcu umęczonej babce i aż sobie usta z wrażenia zatkała dłonią postyszawszy te słowa.